



## Mirosław Derecki

### IDOL I GWIAZDY

Idole umierają młodo. Tragicznie zmarły w 1955 r., młodzieńczy idol amerykańskiego kina, James Dean, kończyłby teraz właśnie, w lutym 1986 r., pięćdziesiąty piąty rok życia. Gdyby - żył. Lecz życie dwudziestoczteroletniego „buntownika bez powodu”, w którego postaci i kreowanych przezeń rolach filmowych znalazły tak idealne odbicie nastroje, sposób myślenia, problemy, kompleksy i fobie pokolenia młodzieży z połowy lat pięćdziesiątych, przerwał w nagły, brutalny sposób wypadek samochodowy. Kariera aktorska Jamesa Deana trwała zaledwie dwieście dni; zginął - pędząc swym srebrzystym sportowym Porsche Spyderem z szybkością 200 kilometrów na godzinę.

Stał u progu zawrotnej kariery. Już po nakręceniu pierwszego filmu „Na wschód od Edenu” (w 1955 r.), zabłysnął jako gwiazda aktorska pierwszej jasności, a młodzież okrzyknęła go swym idolem. W dwa tygodnie po śmierci Jamesa Deana wszedł na ekrany następny film z jego udziałem - „Buntownik bez powodu” Nicholasa Raya, a w roku 1956 „Olbrzym” George Stevensa, w którym Dean spotkał się na planie aktorskim z Elizabeth Taylor i Rockiem Hudsonem. Trzy filmy nakręcone w ciągu jednego roku. Trzy wielkie dokonania reżyserskie Elii Kazana, Nicholasa Raya i George Stevenson. Trzy kolejne wielkie role Jameson Deana! I - na tym koniec. A miał już James Dean w kieszeni kontrakt, podpisany z wytwórnią Warner Brothers na dziewięć filmów w ciągu najbliższych sześciu lat. Z tym, że dwa filmy miał reżyserować on sam...

James Dean grał na ekranie - siebie. Chłopaka z prowincji amerykańskiej, z małego miasteczka lub wiejskiej farmy, młodego samotnego człowieka, pozbawionego miłości rodzicielskiej, buntownika - tylko pozornie - „bez powodu”, agresywnego i obrazoburczego, a przecież w istocie, pełnego romantyzmu, wrażliwości i czułości. Takich ludzi jest pełno wśród nas. Pokazywali ich później, zafascynowani Deanami, liczni aktorzy. W Polsce - Zbigniew Cybulski i Daniel Olbrychski. Wiele z Deana miał w sobie poeta Edward Stachura, i może nawet mniej lub bardziej świadomie, kreował się trochę na niego, w „wymiarze” nie filmowy lecz pisarskim... Ale James Dean był pierwszym, który odkrył taką właśnie postać, taki wizerunek młodego człowieka. Pierwszy dokonał syntezy sylwetki młodego współczesnego człowieka i pokazał ten wizerunek, jako pierwszy, na ekranie filmowym.

„Po co aktor występuje? - tłumaczył przyjacielom - Po to, aby wyrazić marzenia, złudzenia, tęsknoty i... neurozy, w których jest pogrążony”. To nie wszystko. Człowiek, który odkrył go dla kina, reżyser Elia Kazan, miał później napisać o Deanie: „Dawał w tym filmie („Na wschód od Edenu”) z siebie absolutnie wszystko. Z każdą następną sceną, którą kręcił, nasza ekipa zdjęciowa powiększała się. Przychodzili, bowiem pracownicy techniczni z innych ekip filmowych, aby zobaczyć, jak pracuje James Dean. Wszyscy czuli, że oto rodzi się nowa gwiazda. Był tak bardzo niezwykły, ponieważ żadna rutyna, żadne doświadczenie zawodowe, żaden „tik” aktorski jeszcze nim nie zdołał zawładnąć. James wyrażał przed kamerą wszystko to, co miał w sobie, wszystko co skumulowało się w nim od czasów dzieciństwa; i to było jedno z moich najbardziej bulwersujących doświadczeń życiowych. Tak, nie myliliśmy się. Kiedy film wszedł na ekrany, dziewczęta na sali krzychały w ekstatycznym zachwycie za każdym razem, gdy James Dean pojawiał się na ekranie. To były te same krzyki, ta sama reakcja, co dziesięć lat później - na widok idoli rocka. Czegoś podobnego nie widziałem w życiu”. Po premierze „Na wschód od Edenu” narodził się Dean-idol. Po wejściu na ekrany „Buntownika bez powodu”, a następnie „Olbrzyma”, James Dean stał się mitem. Mitem-zwielokrotnionym poprzez śmierć idola.

Mit Jamesa Deana jest żywy po dziś dzień. Nakręcono cieszący się wielkim powodzeniem film dokumentalny o jego życiu - „30 września 1955 r.”; powstały o nim dwie sztuki teatralne - „Come Back to the Five and Dime” i „Jimmy Dean, Jimmy Dean”, a pod koniec ubiegłego roku, w trzydziestolecie śmierci Deana, odbyły się w Stanach Zjednoczonych liczne uroczystości rocznicowe. Ostatnio swoistą sensacją stało się odkrycie w jednym z odcinków amerykańskiego serialu telewizyjnego „Tales of Tomorrow” („Opowieści jutra”), powstałego w 1953 r. (a więc dwa lata przed „Na wschód od Edenu”), kilku - trwających w sumie trzy minuty - scen z udziałem Jamesa Deana, aktora zupełnie jeszcze wówczas nieznanego.

Inna sprawa, że mit Deana zaczyna dzisiaj zmieniać pewne swoje wewnętrzne proporcje, ewoluować w dotąd, niespotykanym kierunku. Oto coraz więcej w nim nostalgii. Dean był niegdyś pierwszym młodzieżowym buntownikiem, pierwszym patronem młodzieżowych ruchów kontestatorskich. Ale był też ostatnim na ekranie przedstawicielem Ameryki prowincjonalnej. Jego buntowniczy następcy pochodzą z wielkich miast. Zwrócono uwagę na fakt, że Al Pacino, Robert De Niro, Sylvester Stallone czy John Travolta są produktem właśnie wielkiego miasta, w kreowanych przez siebie postaciach wyrażają Amerykę wielkich, zróżnicowanych rasowo, kulturowo i pochodzeniowo, miejskich metropolii.

James Dean był wszak rolnikiem z prowincji. Młodym człowiekiem, którego dzieciństwo i lata chłopięce upłynęły na prowincjonalnej farmie, wśród typowych zajęć

gospodarskich. Chodził do szkoły w pobliskim miasteczku, fascynowała go poezja, muzyka i teatr, ale po powrocie ze szkoły siadał na traktor i orał pole albo podawał paszę zwierzętom...

Urodził się 8 lutego 1931 r. w miasteczku Marion w stanie Indiana. Matka pochodziła z rodziny farmerskiej, ojciec był technikiem dentystycznym w miejscowym szpitalu. To matka, trochę wyabstrahowana z codziennego życia i świata, osoba o marzycielskim usposobieniu i artystycznych inklinacjach, rozbudziła w nim zainteresowanie sztuką. To jej pomysłem było nadanie synowi drugiego imienia - Byron, na cześć wielkiego poety angielskiego.

Gdy James Dean miał dziewięć lat, matka umarła na raka i ojciec, który nigdy się nim specjalnie nie interesował oddał chłopca na wychowanie do siostry Hortensji, posiadającej z mężem, Marcusem Winslowem, dwustuhektarową farmę w Fairmount. Uważany zawsze w nowej szkole przez rówieśników za „obcego”, „sierotę” itp. coraz bardziej zamknięty w sobie i wyobcowano, James kochał przecież wujostwo i chętnie później, już w okresie największej sławy, przyjeżdżał na ich farmę. I tam też zapraszał dziennikarzy, aby pozować do zdjęć w otoczeniu krów, owiec i sprzętu rolniczego. W latach szkolnych wielki wpływ na rozwój osobowości i intelektu Deana miał miejscowy pastor James De Weerd, postać nietuzinkowa, jeden z uczestników i bohaterów II wojny światowej.

Po ukończeniu szkoły średniej James Dean wyruszył do Kalifornii i na uniwersytecie w Los Angeles zaczął studiować prawo. Kręcił się też, jak wielu młodych, podobnych mu ludzi, wokół hollywoodzkich wytwórni filmowych. Mając nadzieję zostanie aktorem. W końcu udało mu się pokazać przelotnie w filmie „Colline nr 1” („Wzgórze nr 1”).

Hollywood było Mekką sztuki filmowej, ale prawdziwe życie artystyczne - koncentrowało się w Nowym Jorku. Tam były doskonałe teatry, tam był Broadway i „off Broadway”; i tam właśnie była rozwijająca się bujnie, młoda telewizja, która potrzebowała nowych twarzy. Wreszcie - w Nowym Jorku działało słynne Actor's Studio (prowadzone przez Lee Strasberga), z którego wyszło wielu wybitnych aktorów, m.in. mnożący kolejne sukcesy na teatralnej scenie, a od 1950 r. i w filmie Marlon Brando.

Zimą 1951/1952 r. James Byron Dean przejechał starym samochodem Stany Zjednoczone z zachodu na wschód i... powiększył środowisko początkujących aktorów nowojorskich, oczekujących na swą „wielką szansę”. Razem z nim startowali Steve Mc Queen i Paul Newman. James wstąpił do Actor's Studio, ale rozstał się z nim jeszcze szybciej; metoda uprawiana przez Strasberga nie odpowiadała mu zupełnie. Klepał w tym okresie biedę, dorywcze „okazje” w telewizyjnych spektaklach; w swym pokoju przy 68 Ulicy Zachodniej czytał poezje Baudelaire'a, Rimbauda, Verlaine'a i... uczył się grać na klarnecie.

Najpierw przyszedł sukces teatralny. Po dostrzeżeniu go w sztuce „See the Jaguar” odnosi wielki sukces w przedstawieniu wg „Immoralisty” André Gide'a. kreując postać młodego arabskiego służącego, homoseksualisty. Lecz zaraz po premierze, zamiast „kuć

żelazo póki gorące”, dyskontować teatralny sukces, rzuca wszystko i wyjeżdża do Hollywood. Elia Kazan przystępuje tam właśnie do realizacji „Na wschód od Edenu”. Do ostatniej chwili Dean trzymał w tajemnicy fakt zaangażowania go do tego filmu. Nie zwierzył się także nigdy nikomu, że w zdjęciach próbnych zmierzył się z „rokującym najwyższe nadzieje” Paulem Newmanem, i że... zdystansował Newmana o kilka długości. Pierwsze „klapsy” na planie filmowym zabrzmiały jeszcze w 1954 r., wiosną 1955 r. „Na wschód od Edenu” wszedł na ekrany kin.

„Olbrzym” chyba szczególnie musiał być bliski Jamesowi Deanowi. Grał w nim młodego mężczyznę, niemal chłopaka jeszcze, pozbawionego rodziny i przyjaciół, wyobcowanego z miejscowego, teksaskiego środowiska wielkich hodowców bydła, wykpiwanego i uważanego za szaleńca z powodu swej „obsesyjnej” idei. Tą ideą była wiara, że na skrawku pozostałego mu po rodzicach nieurodzajnego gruntu, wchodzącego klinem w posiadłość bogatego młodego hodowcy (grał go Rock Hudson), znajdzie potężne źródło ropy naftowej. Co przyniesie mu nie tylko majątek, ale - jeszcze ważniejsze - da możliwość pokazania wszystkim, wokoło, że „miał rację” i, że nie jest „byle kim”. Reżyser George Stevens zarysował umiejętnie problem „starego i nowego” w konserwatywnym Teksasie, niechęć starych, tradycyjnych rodów do industrializacji regionu, do niszczących środowisko naturalne oraz dotychczasowy sposób życia - szybów naftowych. Równie ważny był jednak w „Olbrzymie” wątek miłosny; opowieść o niespełnionej miłości młodego „batonika” do przybyłej z kulturalnego „zeuropeizowanego” Wschodu amerykańskiego, pięknej żony młodego farmera-magnata. Postać dziewczyny, która znalazła się nagle w zupełnie dla niej obcym - fizycznie i kulturowo - środowisku odtwarzała - o rok młodsza od Deana - Elizabeth Taylor.

Piękna, szafirowooka i czarnowłosa, drobna i delikatna, ale pełna zdecydowania, Liz Taylor miała już wówczas za sobą wiele sukcesów aktorskich. Posiadała szerokie emploi aktorskie, wielki talent oraz magiczny wpływ na mężczyzn. W przyszłości miała szokować świat swoimi licznymi małżeństwami, kłótniami, głośnymi rozwodami oraz królewskimi klejnotami, które składali u jej stóp zakochani mężczyźni.

Trzecią osobą w tym aktorskim trójkącie z „Olbrzymia” był potężnie zbudowany, niemal dwumetrowy, Rock Hudson. Najstarszy z całej trójki - urodził się w listopadzie 1925 r. – nie dorównał nigdy Deanowi i Elizabeth Taylor skalą talentu aktorskiego, lecz za to przez wiele lat cieszył się opinią jednego z najbardziej męskich aktorów amerykańskiego kina. Syn mechanika samochodowego z Illinois, choć podobnie jak Dean doświadczony przez los w dzieciństwie (ojciec wcześniej opuścił dom, matka wyszła powtórnie za mąż za człowieka, który nie umiał chłopcu życia) Rock Hudson (a właściwie: Roy Sherer), ale miał takich jak James Dean kompleksów, problemów i frustracji. Po odbyciu służby wojskowej, jako mechanik samolotowy na lotniskowcu, szybko znalazł się - głównie dzięki swej sylwetce i

urodzie - na planie filmowym. Grał początkowo drugoplanowe role Indian lub Arabów, w Polsce oglądaliśmy go po raz pierwszy w westernie „Winchester 73”. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych odznaczył się ciekawie zagranymi rolami w filmach „Wspaniała obsesja” i „Na wszystko, co nieba zezwola”, mając za partnerkę Jane Wyman, pierwszą żonę Ronalda Reagana. Za rolę w „Olbrzymie” otrzymał nominację do Oscara.

Nominację do Oscara (drugą już zresztą z kolei) otrzymał wówczas razem z Rockiem Hudsonem - James Dean. Tylko, że była to niestety, nominacja pośmiertna, Dean od roku spoczywał w grobie.

Nigdy nie zobaczył się ani w „Buntowniku bez powodu”, ani w „Olbrzymie”. 30 września 1955 r. wsiadł wraz ze swym przyjacielem mechanikiem samochodowym, Rolfem Wutherichem do srebrzystego Porsche Spydera. Jechali, aby wziąć udział w dorocznych wyścigach samochodowych w Salinas, on prowadził. O godzinie 17.44 zobaczyli zajeżdżającego im z przeciwka drogę na skrzyżowaniu – Forda. Dean powiedział do Rolfa Wuthericha: „Ten facet powinien się zatrzymać. My mamy pierwszeństwo. Musi nas facet widzieć!!”

Ale 23-letni Donald Turnspeed nie widział ich. I w minutę później o 17.43, James Dean leżał martwy, ze złamanym karkiem, wśród szczątków swego samochodu.

W ostatnich scenach „Olbrzymia” James Dean, Elizabeth Taylor i Rock Hudson jawili się „po latach” jako trójka posiwiałych, ale wciąż pięknych, pełnych sił witalnych, zdrowych ludzi. Szczególnie - Hudson i Taylor, którzy mimo licznych „Zakrętów życiowych” zachowali miłość i wzajemny szacunek. Życie dopisało jednak zupełnie inny epilog do prawdziwego życiorysu tych dwojga.

Rock Hudson zmarł w końcu ubiegłego roku na AIDS. W wieku sześćdziesięciu lat ten do niedawna jeszcze, dorodny silny mężczyzna wyglądał na ostatnich zdjęciach jak stary, wyniszczony fizycznie ubogi farmer.

A Liz Taylor, owa wspaniała aktorka, urzekająca Kleopatra w słynnym filmie Josepha L. Monkiewicza, zachwycająca i w filmach kostiumowych i o tematyce współczesnej, nagrodzona Oscarami?... Po ośmiu małżeństwach (w tym dwukrotnie z Richardem Burtonem), po licznych pobytach w szpitalach, po okresach niepohamowanego alkoholizmu i nadużywania środków nasennych graniczących z narkomanią - ta Liz Taylor ostatnio kolejny raz zadziwiła wszystkich. Potrafiła podnieść się z dna upadku. Podczas ubiegłorocznej uroczystości rozdawania Oscarów pojawiła się nieoczekiwanie na sali odmłodzona i fascynująca jak niegdyś. Wróciła na plan filmowy. Gra w serialu telewizyjnym „Hotel” postać aktorki, która wyrwawszy się z nałogu pijaństwa, wraca do świata.

Liz Taylor... kobieta-mit. Choć nigdy nie było jej danym stać się idolem.

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 4, s. 7,11.